Jak Popowicz Wania diabła spotkał i co z tego wynikło. — 100mk

Od autora: Przygody Popowicza Wani: Jak Popowicz Wania diabła spotkał i co z tego wynikło.

Dawno temu, jeszcze za czasów panowania okrutnego cara Aleksandra III, w nie istniejącej już guberni mińskiej, w połowie drogi z Połocka do Mińska leżała sobie niewielka wieś licząca około 20 domostw.

Wieś ta swym wyglądem niewiele odbiegała od innych wsi znajdujących się owego czasu na Rusi białej i zamieszkałych przez Rusinów, Żydów i czasami przez Polaków. Środkiem wsi biegła polna droga. W okresach suchych pokryta grubą warstwą kurzu gryzącego ludzie gardła i oczy, natomiast w okresach mokrych zmieniająca się w bagno. Po obu stronach drogi rozsiadły się zabudowania gospodarcze mieszkańców. Domy wszystkie jak i pozostałe zabudowania były jednakie. Zbudowane z drewna i kryte słomą. Nie widać było by ktoś z mieszkańców był bogatszy od innych, raczej wszyscy wiedli życie na podobnym poziomie.

Monotonność wsi nie poprawiała okolica składająca się z pól, łąk i lasów. Brakowało w pobliżu także jakiegoś pańskiego dworka, a i do miasteczka było stąd dość daleko .

W samej wsi jedynymi atrakcjami były: mała cerkiew oraz karczma. Cerkiew, a właściwie cerkiewka, był to mały budynek cały z drewna, niewiele większy od kapliczki, ulokowany na południowym skraju wsi i ogrodzony pół metrowym płotem z furtką. Cerkiew, na co dzień zamknięta, odżywała w niektóre niedziele i wielkie święta gdy do wsi przybywał miejscowy pop by odprawić nabożeństwo. W pozostałe dni była zamknięta na cztery spusty i mieszkańcy musieli się udawać do sąsiedniej wsi gdzie w cerkwi mieszkał ich pop.

Większy pożytek miano z karczmy usytuowanej na północnym skraju wsi jakieś 1/3 wiorsty od najbliższych zabudowań. Sama karczma, składająca się z dość dużego drewnianego domostwa i niewielkiej obory zwanej stajnią oraz murowanej studni, a wszystko to było otoczone 2 metrową palisadą z wielkimi wrotami gdzie bez problemu można było wjechać powozem, leżała pod niewielkim sosnowym lasem nad wąską dróżką. Dróżka ta z jednej strony prowadziła do sąsiednich wsi, a z drugiej do drogi przebiegającej przez naszą wieś. Sama karczma była oddalona od głównej drogi w odległości ok. ¼ wiorsty. To wraz z sąsiedztwem lasu powodowało, że podróżny idący z północy dość często omijał skręt i parł do wioski w której dopiero dowiadywał się, gdzie na tym odludziu można znaleźć jakikolwiek zajazd. By temu zaradzić postawiono na rozwidleniu znak informujący o obecności zajazdu.

Pożytek z niej dla lokalnej społeczności był ogromny. Otwarta w każdy dzień, po za niedzielą , była głównym miejscem spędzania wolnego czasu przez męską część populacji wsi oraz okolic. W niej organizowano wszystkie wiejskie zabawy, a to z tego powodu, że większego budynku w całej okolicy nie było(pomijając cerkiew parafialną w sąsiedniej wsi).

Poświęćmy karczmie więcej czasu bowiem to tutaj będzie się działa akcja naszej opowieści. I tak jak wspomnieliśmy była ona otoczona 2 metrową sosnową palisadą. Szerokie wrota prowadzące do środka zajazdu otwarte były przez 6 dni w tygodniu. Zamykano je tylko w niedziele i wielkie kościelne święta. Po przekroczeniu wrót oczom przybysza ukazywała się ogromna drewniana chata z kominem stojąca na wprost bramy w odległości nie większej niż 15 metrów. Niezwykłość budynku polegała na tym, że budynek składał się z parteru, gdzie znajdowały się drzwi wejściowe i 2 sporych rozmiarów okna oraz z piętra gdzie widziało się 5 niewielkich okienek. Do tego należy dodać i to , że tylko ten budynek miał drewniany dach. Natomiast po prawej stronie wchodzący zauważał dość dużych rozmiarów drewnianą i

krytą słomą stodołę. Dokładniejsze oględziny pozwalały zauważyć , że stodoła składała się tak naprawdę z dwóch, stojących obok siebie budynków. Właściwej stodoły i z niewielkiej przybudówki, z której co jakiś czas dochodził odgłos pochrumkiwania. Całość zabudowy widocznej dla wchodzącego dopełniała psia buda z uwiązanym wielkim psiskiem. Wszystkie te budynki tworzyły kształt litery L z łącznikiem w postaci psiego domostwa.

Podróżny wchodząc na podwórze, tak samo zakurzone lub błotniste jak okoliczne drogi, kierował swoje kroki ku drzwiom wejściowym. Po wejściu na dwa stopnie i otwarciu drzwi stawał u progu wielkiej izby. Na wprost drzwi wejściowych ukazywała się ogromna lada ze stojącym na niej samowarem. Za ladą widoczne były dwie długie pułki przymocowane do ściany i butelki oraz naczynia leżące na nich. Po dokładniejszych oględzinach ukazywały się także kolejne drzwi prowadzące do pomieszczeń przeznaczonych tylko dla właściciela z rodziną. Po prawej stronie od wejścia podróżny widział dwa stoły z ławami oraz przy samej ścianie schody prowadzące do pokoi na górze i przeznaczone dla podróżnych którzy mogli sobie na to pozwolić. Po lewej natomiast widać było trzy, takie same stoły z ławami i kominek dający światło i ciepło w zimne dni oraz strawę. Całość izby sprawiała wrażenie miejsca schludnego pomimo widocznych sadz i brudu czy to na ścianach czy podłodze. Także ukryć się nie dało, że izba miała swoje lata. Drewno w wielu miejscach zdążyło poczernieć na skutek upływu lat. Całość izby dopełniały 3 obrazki przedstawiające: jeden jakąś rzeczkę i parowce po niej pływające oraz 2 obrazy ze świętymi.

Oświetlenie izby zapewniał, obok komina, duży świecznik stojący przy samowarze oraz 5 świeczek, jedna na stół. Do tego należy dodać dość duże okna, które wpuszczały dzienne światło. Jednak ich przydatność kończyła się wraz z nastaniem nocy i okresów jesienno - zimowych. I gdy nadchodziły długie zimowe noce jedynym światłem pozostawał ogień tlący się w kominku i na świeczkach.

I właśnie takiego ciemnego dnia, gdzieś pod koniec listopada w ulewny wieczór, kiedy mrok okrył już całą okolicę, z lasu wynurzyła się postać. Widać było, że chód tej postaci wskazuje na zmęczenie. Bowiem postać ta szła pochylona do przodu opierając się na długim kiju. Na jej plecach i głowie zarzucony był wielki płaszcz chroniący od zimna i wilgoci. Co jakiś czas postać podnosiła głowę by się upewnić czy nie zeszła z wyznaczonej trasy. Gdy doszła do rozwidlenia drogi, spojrzała na znak i powiodła wzrokiem w kierunku gdzie miała się znajdować przystań dla takich wędrowców jak ona. Po chwili w oddali zauważyła migające światełko, zapewne małą latarnie wywieszoną wywrotach karczmy. Upewniwszy się, że to musi być miejsce o którym informuje znak tam skierowała swoje kroki.

Tymczasem, gdy na dworze zacinał deszcz i ciemność ogarnęła świat i nikt nie mógł dostrzec naszego wędrowca, w suchej izbie karczemnej gdzie także było ciepło siedziało kilka osób.

Oparty o ladę stał gruby mężczyzna. Tłusty fartuch wskazywał na właściciela karczmy. Był to Iwan Wasilewicz. Istotnie pan na karczmie. W swoich ustach trzymał zapaloną fajkę, z której co i rusz pykał obłoczki, które ulatując ku górze tworzyły nad jego łysą głową coś w rodzaju aureolki. Dużymi błękitnymi oczyma , tak nie pasującymi do tłustej twarzy, błądził po swoim królestwie, zatrzymując się po parę sekund na każdym z gości.

Przy jednym ze stołów, przy samym prawie kominie, siedzieli Jakub Michałowicz oraz Fiodor Iwanowicz. Dwaj najlepsi przyjaciele oraz pijacy we wsi. Jeden rzut oka pozwalał stwierdzić, że są stałymi bywalcami, może nawet nie tyle karczmy co jej, trunków. Nawet teraz siedzieli pochyleni nad kuflami. Co kilka minut kufel jednego i drugiego wędrował do ust wywołując uśmiech na twarzach pijaków i krótką wymianę zdań.

- Boski napój Fiodorze, nieprawdaż?

- A jakże kochany Jakubie.

Po czym obaj milkli na kilka minut by po tym czasie zaczynać od początku swój rytuał.

Przy samym kominku natomiast drzemał, oparty o krzesło, młodzieniec. Lat jeszcze nie męskich , ładnej postury. Przy każdej rozmowie naszych pijaczków budził się i otwierał swe oczy, by sprawdzić czy czasem gościom nie trzeba dolać napitków. Po czym widząc , że nic się nie dzieje znowu zapadał w swój płytki sen. Młodzieniec o którym mowa zwał się Michał Iwanowicz, zwanych przez wszystkich , nie wiadomo dlaczego Saszą. I jak się zapewne domyślacie był synem Iwana Wasilewicza. Choć stwierdzić to można było dopiero po ujrzeniu jego błękitnych oczu, identycznych jak ojca.

Ostatnią już osobą przesiadującą tego wieczora w karczmie był niejaki Anton Wasilewicz. Rodzony brat Iwana oraz stryj Saszy. Anton nie był mieszkańcem naszej wsi. Przed wielu laty zamieszkał w sąsiedztwie wraz z żoną. Jednakże dość często wpadał w odwiedziny do brata. Bowiem trzeba wiedzieć, że bracia żyli w całkowitej zgodzie ze sobą, co niej jest normą w naszym świecie. Siedział sobie Anton po przeciwnej stronie kominka w stosunku do Saszy i podobnie jak on drzemał. Z tą różnicą, że sen jego był głębszy niż bratanka.

By dopełnić obrazu jaki panował w karczmie, należy jeszcze wspomnieć, że co jakiś czas zza drzwi umieszczonych w ścianie za ladą wychylała się kobieca głowa, po czym równie szybko znikała. Może była to córka właściciela, a może żona. Do tego należy wspomnieć o ogromny białym kocie śpiącym na kolanach Saszy. Który zadowolony z posłania na nic nie reagował.

I gdy nasi bywalcy siedzieli sobie w suchej i ciepłej izbie niczego nie podejrzewając do karczmy zbliżał się nasz nieznajomy. I gdy był już na tyle blisko, że mógł, mimo ciemności i deszczu , dojrzeć zarysy zabudowań przyśpieszył kroku i szybko minął wrota z zapaloną latarnią i nie oglądając się na nic skierował się do drzwi wejściowych.

Po chwili drzwi się otworzyły i ku zaskoczeniu siedzących stanęła w nich ciemna postać. Wszystkie oczy skierowały się na ciemnego przybysza. Przebudził się Sasza oraz jego stryj i także zaczęli patrzeć kogo przywiało tu w taką pogodę. Nieznajomy postąpił krok do środka izby po czym zamknął drzwi i zrzucił kaptur zakrywający całą głowę. Oczom bywalców ukazał się tłusta dobroduszna twarz. Piękne czarne, długie włosy majestatycznie spływały na czoło i uszy przybysza, jeszcze bardziej podkreślając ciepło bijące od niego. Duże ciemne oczy uśmiechały się do obecnych. Chwilowa cisza która zapadła z chwilą wejścia naszego wędrowca została przerwana przez Iwana.

- Witajcie przybyszu. Kogóż mam zaszczyt gościć?

Twarz przybysza jeszcze bardziej się rozjaśniła, a z ust popłynął donośni choć bardzo dobroduszny głos.

- Pochwalony bracia. Wybaczcie, żem tak późno zawitał w wasze progi, ale pogoda tak się popsuł , że bałem się już, że straciłem orientację i zgubiłem drogę.

Po czym kontynuował.

- A odpowiadając na twoje pytanie gospodarzu. Bo mniemam żeś tu gospodarzem. Jestem Wasyl Alek-

sandrowicz, a z zawodu pop. Choć wszyscy wołają na mnie Popowicz Wania i tak wy róbcie.

Na to wyznanie wszyscy chóralnie powstali i odpowiedzieli.

- Na wieki wieków.

Po czym Iwan i Sasza, ku niezadowoleniu kota, rzucili się pomóc Popowiczowi zdjąć przemoczony czarny płaszcz i usadzili go przy ogniu by się rozgrzał.

- Przyjemnie tutaj u was gospodarzu – rzekł Wania.

- Dziękuje ojczulku, staram się – odrzekł Iwan – Podać wam coś do jedzenia lub picia?

- Jeśli jesteście tak łaskawi chciałbym coś zjeść i napić się kwasu.

- Robi się ojczulku – rzekł Iwan, po czym zwrócił się do syna.

- Sasza przynieś kwasu dla ojczulka Wani, migiem.

Po czym Sasza natychmiast udał się na zaplecze i po chwili wrócił z garncem kwasu. W tym czasie jego ojciec do wielkiej misy nalał, z kotła stojącego na kominku, kilka łych kapuśniaku. Dodał do tego pół chleba i postawił to wszystko przy stole do którego przysiadł się Popowicz.

Po chwili całe jedzenie zniknęło w przepastnym brzuchu naszego Wani. Zadowolony z posiłku rozsiadł się na ławie i z wielkim zadowoleniem rozejrzał się po izbie. W tej właśnie chwili przemówił Anton.

- Wybaczcie Popowiczu Wania, że zatruwam wam życie, ale dokąd to zdążacie?

- Nie musicie o żadne wybaczenie prosić, bowiem nic złego jest się pytać podróżnego o cel jego podróży. A idę do Mińska w odwiedziny do matuli.

- Z daleka ojczulku zdążacie? – zapytał Jakub , zaprzestając na chwilę swego rytuału.

- Oj , z daleka braciszku. Aż z samej stolicy.

- Z Peterburga? – włączył się do rozmowy Sasza.

- Tak z samego Petersburga. Właśniem zakończył niedawno seminarium duchowne w stolicy i otrzymałem niższe święcenia i choć skierowano mnie do władyki smoleńskiego to najpierw postanowiłem odwiedzić matule w domu.

- Ale, że aż tam was na naukę wysłali ojczulku, gdy w Smoleńsku mogliście to samo zrobić – rzekł znowu Anton.

Wania posłał mu uroczy uśmiech i rzekł.

- Wola boża i przełożonych, nic na to ja boża biedaczyna poradzić nie mogę.

- Prawda, święta prawda – odparł Anton.

Po czym wszyscy wrócili do wcześniejszych czynności. Nasi dwaj pijaczkowie zajęli się piciem i komplementowaniem trunków. Iwan znowu zaczął pykać fajeczkę. Dołączył w tym do niego brat. Sasza znów zaczynał drzemać na krześle. Kot zadowolony, że pan wrócił na swe miejsce znów złożył łeb na jego kolanach. Natomiast Popowicz Wania z dobrotliwym uśmiechem wodził po izbie i zebranych.

Jednak wszystko co dobre kiedyś się kończy. Tutaj koniec przyszło wyznaczyć Jakubowi.

- No cóż kochany Fiodorze pora już na nas. Nie sądzisz?

- Chyba racja Jakubie. Jeszcze trochę posiedzimy to nam baby żyć nie dadzą. Skaranie boskie z nimi.

- Cóż począć. Taki los człowieczy. Czyż nie tak ojczulku – tu mówiąc zwrócił Fiodor swą zalaną twarz w kierunku Wani.

- Tak jest mój bracie. Taki los człowiekowi przeznaczony, buntować się przed nim nie można. Wola boża świętą jest.

- Amen ojczulku – zgodnie odpowiedzieli przyjaciele.

Zaczęli nasi pijaczkowie powoli podnosić swe kupry z ław i prostować zasiedziałe kończyny. Po czym wyjedli ze swych kieszeni pieniądze i zapłacili Iwanowi za napitki. Następnie rzucili okiem przez okno na dwór i Fiodor powiedział.

- Ciągle leje. Diabli nadali tą pogodę.

- Nie bluźnij – rzekł Anton.

- A co się niby stanie drogi Antonie Wasilewiczu, jeśli powiem, że diabeł nadał nam tą pogodę.

Nim Anton zdążył odpowiedzieć, popłynęły słowa z ust Wani Popowicza.

- Anton Wasilewicz, ma całkowitą rację moi braciszkowie. Imienia diabelskiego lepiej nie wzywać.

Po tych słowach oczy wszystkich, włącznie z oczami przebudzonego Saszy, zwróciły się w kierunku Popowicza Wani.

- O czym wy mówicie ojczulku? – rzekł Iwan.

- A o tym mój drogi gospodarzu, że jak się wzywa imię diabelskie to można się z jego właścicielem spotkać.

- Jakże to? Wyście ojczulku diabła widzieli – rzekł Fiodor.

- Żebym tylko widział, ale z nim rozmawiał i nawet walkę stoczył.

- Nie może być – zakrzyknęli zebrani. Po czym posypały się słowa domagające się więcej szczegółów. A Popowicz Wania, człowiek pełen dobroci dla wszystkiego co Bóg stworzył nie dał się długo prosić i rzekł.

- Jeśli chcecie żebym wam powiedział jak to było to skupcie się przy mym stole, a z radością wam opo-

wiem o dziwnym przypadku jaki mi się niedawno wydarzył. Chcecie?

- Chcemy! Chcemy! Ojczulku, chcemy! – zawołali wszyscy i skupili się wokół Wani. Nawet kot, choć niezadowolony, że stracił kolana pańskie przysiadł na stole i swymi oczyma wpatrywał się w Wanie.

- No ojczulku zaczynaj – rzekł Anton.

- Dobrze. Więc posłuchajcie dziwnej przygody która wydarzyła się nie tak dawno, zaledwie przed kilkoma dniami. A której bohaterami są: sługa boży, Popowicz Wania, siedzący przed wami i zły, który zbuntował się przeciw Panu i jedyne co robi to bruździ Mu - po czym Wania wziął ogromny haust powietrza i kontynuował - A więc wszystko zaczęło się od tego, żem ukończył seminarium i w okresie gdym czekał na decyzje swych przełożonych do którego biskupa mam się udać, wpadłem na pomysł odwiedzenia mej matuli w rodzinnym Mińsku. I gdym otrzymał już listy polecające do władyki smoleńska, wziąłem co miałem i ruszyłem drogą przez Nowogród i Połock na Mińsk. Bowiem trzeba wam wiedzieć, że ojczulek Aleksander, który opiekował się mną w seminarium zawsze uważał , że pociąg to zło wcielone które odgradza pasterza od owiec. A ja jako wierny jego uczeń, wziąłem tę naukę i głęboko ją do łba wpakowałem. I choć chciano mi dać pieniądze na bilet to odmówiłem i ruszyłem na piechotę do domu.

- To szliście ojczulku całą drogę na swych nogach – wtrącił, niespodziewanie Sasza.

- Nie całą mój drogi. Czasami dobrzy ludzie podwozili mnie swymi wozami nie chcąc ode mnie żadne zapłaty. I gdy już jakiś czas byłem w drodze, gdzieś między Nowogrodem a Połockiem dorwała mnie ciemność – w tym momencie na parę chwil Wania przerwał swą opowieść i widząc wzrastające zainteresowanie słuchaczy kontynuował tymi słowami - Gdy tamten dzień się zaczynał nic nie zapowiadało tego co nastąpiło wieczorem. Byłem wtedy w lesie gdy zapadły egipskie ciemności i lunęło z nieba tak, że w kilka minut byłem przemoczony. Szybko straciłem orientację w terenie, bowiem nic na wyciągnięcie ręki nie było widać. A i obecność lasu nie polepszała mojej doli. I to wtedy właśnie wyrwało mmi się z ust: *Diabli to nadali*. Gdybym wiedział co mnie będzie przez to czekać dwa razy ugryzłbym się w język. Ale stało się cóż począć. I gdym tak błądził mokry i zmarznięty po ciemnym lesie natrafiłem na niewielki zajazd nad rzeczką. Niewiele myśląc udałem się do środka, gdzie sądziłem, że wypocznę. I choć brzydko tam pachniało i sama karczma złe robiła wrażenie bez większych problemów dogadałem się z karczmarzem i zjadłem podaną mi nalewkę. Po spożyciu posiłku na chwilę usiadłem przy kominku i chyba zasnąłem.

- I to wtedy spotkaliście diabła? – rzekł Fiodor.

- Nie przerywaj – wtrącił Iwan.

- Braciszkowie nie kłóćcie się. Nie ma o co. Właściwie to nie wiem czy spałem czy tylko na chwilę zamknąłem oczy. Faktem jest, i mogę przysiąść na Boga, że zbudził mnie gryzący zapach. I gdym otworzył oczy ujrzałem po drugiej stronie stołu przy którym siedziałem najmniej spodziewanego gościa. Był cały czerwony. Na głowie błyskały dwa czerwone rogi wyrastające z czarnych jak smoła włosów. Był ubrany w czarny garnitur, a z tyłu za jego plecami merdał czerwony, cienki czerwony ogon zakończony ogon. Jego ślepia wpatrywały się we mnie przenikliwie, a twarz jego, całą we czarnych włosach wykrzywiał przerażający uśmiech. Możecie sobie wyobrazić jaki przestrach ogarnął moje ciało i mą duszę. Spotęgował się jeszcze gdy wysłannik piekieł przemówił do mnie.

- *No i co tam Waniu Popie? Myślałeś sobie, że możesz moje dzieło bezkarnie obrażać?* Gdy to mówił

owinął mnie smród siarki, bo to chyba była siarka, wydobywający się z jego ust. Gdym się rozglądał, bezradny, w poszukiwaniu pomocy ujrzałem jak zły uśmiecha się do mnie i rzece takie słowa:

- *W moim przybytku pomocy szukasz Popie?* I zaczął się śmiać. Wtedy przeraziłem się nie na żarty.

- I cóż uczyniliście ojczulku – spytał Sasza.

- Nie padliście ze strachu – dorzucił Jakub.

- Nie padłem moi drodzy bowiem jestem sługą bożym. I wiedzcie, że w seminarium i na takie okoliczności nas gotują. Wtedy ujrzałem przy sobie kufel z resztkami kwasu chlebowego, który piłem i wzywając Boga Stwórcę na pomoc - przy tych słowach Wania podniósł się z ławy - chwyciłem ten kufel i rąbnąłem złego w jego pustą łepetynę – i w tym momencie wykonał ruch ręką który miał imitować uderzenie kuflem - A trzeba wam wiedzieć, że siłę to ja mam. Diabeł, nim zdążył się połapać co robię już leżał nieprzytomny, a ja przezornie opuściłem ten przybytek. Bo jak powiadali nasi mistrzowie w seminarium: *Gdy pokonasz diabła oddal się z miejsca zwycięstwa by sił nie odzyskał i na powrót ciebie nie chciał chwycić.* Więc opuściłem przybytek i dzięki pomocy boskiej jakoś znalazłem drogę i wyszedłem z lasu. To tyle moi braciszkowie.

Po tych słowach zapadła głęboka cisza, w czasie której wszyscy obecni włącznie z kotem, z podziwem wpatrywali się w postać Wani dalej stojącego przy stole.

- Niesamowite – były to pierwsze słowa które padły po przemowie i które wypowiedział Iwan.

- Prawda – dodał Jakub.

- Więc jak widzicie moi drodzy, lepiej dla nas wszystkich złego nie przyzywać bo można biedy sobie napytać – dopowiedział Wania po czym opuścił się na ławę.

- Tak macie rację ojczulku – dorzucił Fiodor. Po czym wraz z Jakubem przeżegnali się i pożegnawszy się ze wszystkimi opuścili karczmę i powrócili do domów. W karczmie też wszyscy udali się na spoczynek.

&

I jak już drogi czytelniku się dowiedziałeś, z ust Popowicza Wani, jak doszło do ich spotkania racz jeszcze dowiedzieć się jak było naprawdę. Oczywiście nie twierdzimy, że Popowicz Wania skłamał swoim gospodarzem i współbiesiadnikom. Bowiem był on nie tylko popem, ale także człowiekiem nad wyraz uczciwym i dobrym dla wszystkich. Ale jak to z ludźmi bywa czasami dość mocno przesadzał w swych opowieściach i często ponosiła go fantazja.

A prawda była taka, że Wania Popowicz wszystko co działo się do czasu przybycia do zajazdu w lesie i spotkania z diabłem opisał dokładnie tak jak było. Ale znacznie ubarwił swoją przygodę z diabłem, która tak wyglądała, że gdy go zobaczył to ze strachu posiwiał. A kufel to porwał, niewiele myśląc i przywalił na oślep złemu. Traf chciał, że trafił go prosto między oczy i diabeł z bólu skowycząc upadł na podłogę. Po czym wybiegł z krzykiem zajazdu i w ciągu ciemnej nocy pokonał więcej wiorst niż jeździec na naj-

lepszym koniu by zdołał. Tak go strach gnał. Oczywiście nie patrzmy na Popowicza Wanie złym wzrokiem. Wielkim tchórzem to on nie był. A zresztą kto by nie spanikował gdyby ujrzał diabła naprzeciw sobie.

Natomiast czy Popowicz Wani naprawdę spotkał diabła czy też mu się przywidziało, nie nam to wiedzieć.

&

Następnego ranka gdy wstał dzień ładniejszy. Popowicz Wania po przebudzeniu i zjedzeniu śniadania oraz zapłaceniu karczmarzowi Iwanowi należności, choć Iwan jak przystało na człowieka pobożnego przyjąć zapłaty nie chciał, wyruszył w dalszą drogę. Ci którzy rano wstali widzieli wędrowca przemierzającego wieś z północy na południe. Oraz widzieli jak zatrzymał się przed cerkiewką i na parę minut pogrążył się w modlitwie. I choć później znikł im na zawsze z oczu, jeszcze przez wiele lat opowiadano sobie we wsi i okolicach o dzielnym Popowiczu Wani który z diabłem zwyciężył w walce.

KONIEC

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

100mk, dodano 10.10.2017 20:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.